



**JAN KRZYSZTOF
PIASECKI**

LUDZIARY

Biblioteka
SŁÓW

**JAN KRZYSZTOF
PIASECKI**

LUDZIARY

Copyright © by Jan Krzysztof Piasecki, 2023

Copyright © Biblioteka Analiz, 2023

Autor: Jan Krzysztof Piasecki

Tytuł: Ludziary

Wydanie pierwsze

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody wydawcy jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Redaktor prowadząca: Ewa Tenderenda-Ożóg

Redakcja i korekta: Elżbieta Sokołowska | korektelka.pl

Korekta techniczna: Elżbieta Sokołowska | korektelka.pl

Projekt okładki: Dream Team

Fotografie wykorzystane na okładkach: z archiwum autora i Wikimedia Commons

Opracowanie graficzne i skład: TYPO 2 Jolanta Ugorowska

Warszawa, 2023

ISBN 978-83-967745-7-6

Wydawca:

Biblioteka Analiz

ul. Mazowiecka 6/8

00-048 Warszawa

tel. 22 828 36 31

ww.biblioteka-slow.pl

Facebook.com/bibliotekaanaliz

Facebook.com/WydawnictwoBibliotekaSlow

Mojej Matce

1. CHŁOPIEC

Albert jest mały. Był taki czas na początku, gdy biegał po domu i ogrodzie, wszystko widział i wiedział, myślał niezwykle szybko, niczego się nie bał. A potem zaczęła nadciągać mgła.

Matka wskazywała na przechodniów przystających na chodniku przed bramą ich willi. „Popatrz – mówiła – te wstrętne ludziary. Gapią się”.

Wzdłuż wjazdu do bramy i koło furtki rósł wysoki żywopłot ze śnieguliczki. Gdy białe kulki na gałązkach dojrzały i zaczynały opadać, chłopiec chodził tam i deptał kuleczki leżące na żwirowej drodze, a one, pękając – strzelały. Czasem jakiś przechodzień spoglądał ku niemu spod bramy i zwalniał krok. Chłopiec podnosił głowę i wyniośle spoglądał na intruza. Rysy twarzyczki ostrzyły się, mięśnie ust – zaciskały. „Wstrętne ludziary, czego tu chcecie?!” – powtarzał w myślach.

„A ty będziesz Panem Inżynierem. Będziesz pracować i zarabiać – mawiała matka. – Mój Pan Inżynier...”. Stali na balkonie dużej poniemieckiej willi i patrzyli na ogród i w stronę przedmieść. Pracować, pracować... Co to znaczyło? To słowo kojarzył na początku z praniem. Wyobrażał sobie wtedy dużą tarę z ocynkowanej blachy, powyginaną w fale, na której gosposia tarła i prała namydloną bieliznę.

Druga babcia, matka ojca, była mu obojętna. Odczuwał, że mama jej nie lubi.

Na gospozię zastawił zasadzkę: wykopał dołek na ścieżce do śmietnika, dziurę przykrył chrustem, a gałązki zamaskował ziemią. Gospośnia codziennie chodziła tędy z kubelkiem ze śmieciami. Wpadła w dziurę i złamała nogę. Odeszła.

Niewiele na tym zyskał – nastąpiła nowa, dużo młodsza gospośnia i straszyla go Cyganami: przyjdą i za nieposłuszeństwo wsadzą go do worka i zabiorą. Niezupełnie w to wierzył, ale się bał. Ta gospośnia również szybko odeszła, a przy okazji ukradła futra mamy.

Mieszkał z mamą, tatą i babcią – matką mamy. Dziadek przyjechał dopiero później, kiedy chłopiec był większy.

Gdy rodzice byli w domu, babcia zazwyczaj chodziła za matką i ojcem ze ściereczką i powtarzała: „Nie kłóćcie się, nie kłóćcie się”. Kłócili się zawzięcie. Codziennie. Czuł się winny z powodu kłótni rodziców i że nie może nic zrobić, aby ich powstrzymać.

Ojca trochę się bał. Może dlatego, że Betina ciągle coś tacie zarzucała? Ojciec nie był zły. Nie krzyczał na niego. Czasem wieczorem siadali w salonie i czytał mu książkę albo oglądali klasery ze znaczkami.

Tata lubił robić zdjęcia. Gdy urodził się braciszek, często fotografował ich razem.

O braciszka był zazdrosny. Maluch wtargnął w jego świat jak intruz. Poza tym siłą rzeczy był w rodzinie najstarszy, więc Albert tylko jemu mógł oddać złość i ujemną energię, którą przejął z kłótni rodziców.

Gdy braciszek miał dwa, trzy latka, Albert – trzy lata starszy – asystował mu przy kąpieli w blaszanej wanience i straszył go: „Zaraz wypadnie zatyczka i woda cię wesie do dziury”. Mały płakał, a raz ze strachu zrobił nawet kupę do wody.

Przyjeżdżał dziadek – chłodny, systematyczny typ naukowca. Albert drażnił go siorbaniem zupy czy pokładaniem się na stole. Dziadek zaczął mu nawet płacić po dwadzieścia groszy za to, żeby dobrze zachowywał się przy jedzeniu...

Najlepsza była babcia. Zawsze zapracowana. Gdy go przytulała, akceptował ją i przyjmował ciepło. Ale sam nie umiał się przytulać. Przytulany przez matkę, sztywniał, jakby wstydził się zaakceptować jej gest.

Narastało w nim poczucie odrębności, wyobcowania. Świat ciemniał, wschodziła mgła. Może przeraziła go właśnie odkryta ludzka śmiertelność? Włazł w niego jakiś wirus, jakiś mikroorganizm niemożności i straty i uczynił go chwilowo bezbronnym na napór młodego życia? Niezawodną szczepionką na takie stany jest ciepło rodzinne. Natomiast konflikty w rodzinie bywają paliwem podsycającym słabość.

Pamięta taki obrazek: jedzie z matką tramwajem albo pociągami i przeżywa niesamowity lęk. Wokół dużo osób, nie ma się gdzie schować, nie może wyjść... Betina, zajęta sobą, nie dostrzega jego strachu. Chłopiec zastyga w sobie, czeka na koniec tej strasznej podróży. A jeszcze niedawno hasał beztrąsko po ogrodzie, wszystko było zrozumiałe i proste.

2. PRZEZROCZYSTA KOPUŁA

Albert polega na łóżku w ogromnym, wysokim pokoju opuszczonego mieszkania. Wstaje, robi rundę wokół białych ścian. Przystaje przy chłodnym piecu kaflowym, opiera się o niego, spogląda na dużą, plastikową, przezroczystą półkulę, leżącą pośrodku pokoju na podłodze ze starej przedwojennej klepki kopułą do góry. „Tylko mnie tam w środku brakuje – myśli. – Ale co za różnica: pod kopułą czy w tym zawsze mrocznym pokoju. Jednakowa matnia...”

Wraca na łóżko. Polega, wpatruje się w gipsowe stiuki na suficie wokół lampy i brzegów ścian. Wstaje. Podchodzi do drzwi balkonowych. Spogląda na sąsiednie okna i ściany ograniczające niewielką przestrzeń podwórza-studni śródmiejskiej kamienicy.

Ból jelit ustaje. Wraca na łóżko.

Przysypia. Pojawiają się półsny-majaki. Odpycha je, ale napierają ze zdwojoną mocą. „Kto nas tak urządził? Bóg czy jakaś nadprzyrodzona siła absolutna? Czarna Hańcza, najgłębsze jezioro w Polsce – tam na dnie byłoby mi dobrze, nikt by mnie nie znalazł”.

Tak mija dzień za dniem. Co kilka dni Albert wychodzi, żeby kupić sobie jedzenie. Pieniądze co miesiąc dostaje od ojca. Niezła sumka. Można tak żyć w nieskończoność.

Kraj w stagnacji, ale ceny niskie. Chodził na studia, przerwał, ma znowu zacząć po wakacjach.

Leżeć tak do jesieni? Ale nagle „Puk, puk” do drzwi. „Puk, puk”. Potem dzwonek.

To Karol, kolega z uczelni.

Karol zaprasza na piknik za miasto. Rozmawiają. Karol wspomina stare dzieje. Spogląda na przezroczystą półkulę.

– Tylko ciebie tam w środku brakuje – mówi, wskazując na ten dziwny przedmiot.

– Tak samo niedawno pomyślałem.

– Przyjeżdżaj. Rozerwiesz się, wyjdiesz z tego koszmaru.

– Przyjadę.

POWSTANIE 1.

POCZĄTEK. WALKA. KAPITULACJA

Albert przygotował dyktafon i włączył nagrywanie. Matka zaczęła opowieść:

– Od pierwszego dnia wojny jako uczennica opiekowałam się rannymi, a nawet asystowałam przy operacjach w Ujazdowskim Szpitalu Wojskowym. Dzień w dzień pod ostrzałem artyleryjskim biegałam z mieszkania ze Śródmieścia do tego szpitala. Od początku okupacji byłam w konspiracji. Maturę zdałam na tajnych kompletach i tak samo rozpoczęłam studia medyczne. Wykłady odbywały się w mieszkaniach prywatnych. To było zagrożone karą śmierci – gdyby Niemcy nakryli taki komplet, to wszyscy by poszli pod ścianę: pięć osób i właściciel mieszkania. Mieliśmy też dużo ćwiczeń w prosektorium. Siedziało się tam do rana, do końca godziny policyjnej można się było dużo nauczyć... Ćwiczenia z fizyki, chemii, biologii odbywaliśmy w szkole Zaorskiego – to była oficjalna szkoła niemiecka dla sanitariuszy. My byliśmy fikcyjnie wpisani na listę w tej szkole, ale nie uczęszczaliśmy na wykłady, tylko na te ćwiczenia. Ta fikcja kryła Uniwersytet Ziemi Zachodnich, który w Warszawie zorganizował tajne nauczanie medycyny. Po wieści o wybuchu Powstania Warszawskiego dostałam z komendy Armii Krajowej rozkaz stawienia się na Woli w punkcie kontaktowym.

Z kilkoma dziewczynami ze szkoły pielęgniarskiej zjawiłam się pod wskazanym adresem. Tam nikogo nie zastałyśmy, a była już godzina siedemnasta. Pierwsze strzały, pierwsi ranni. Zostałam z moimi pielęgniarkami i sama musiałam o wszystkim decydować. Opatrzyłyśmy pierwszego rannego. Ale co dalej? Ludzie poradzili nam, aby iść do opuszczonego posterunku granatowej policji, bo tam znajduje się dobrze wyposażony punkt sanitarny. Rzeczywiście – była tam sala zabiegowa ze świetnym wyposażeniem. Wszystko potrzebne do ratowania ludzi: stół operacyjny, lampa operacyjna nad stołem, narzędzia, w puszkach sterylny materiał opatrunkowy... I wtedy zaczęła się ta cała strzelanina... Przez okna wpadały odłamki murów. Zaczęli nam przynosić rannych. Tam w pierwszych dniach Powstania operowałam wszystkich rannych z okolicy. Powstańcy nie zdołali utrzymać Woli. Dostałam rozkaz, aby zabrać wszystko, co można, i przedostać się na Stare Miasto. Ja i moje cztery pielęgniarki szłyśmy z rannymi. Miałyśmy też rannego Niemca, którego opatrzyłyśmy. Na Starym Mieście skierowali nas na ulicę Barokową. Potem dostałam rozkaz utworzenia punktu sanitarnego w garażach Pasażu Simonsa, w którym stacjonował Batalion Chrobry I. W piwnicach pasażu wyjmowaliśmy przy świeczkach odłamki i operowaliśmy. Kazali mi ewakuować rannych do kościoła świętego Jacka, do utworzonego tam prowizorycznego szpitala. Zaprowadziłam jedną grupę, potem drugą. Gdy wychodziłam, zawalił się strop bombardowanego kościoła. Kiedy leciały na mnie cegły, pomyślałam: „To już...? Tak szybko...?”. Był ze mną porucznik L. Oszołomiony i ranny, rzucił się do

przodu na oślepie. Wpadłby do leja po bombie, ale wyobraż sobie, że ja – już z połamanymi żebrami i ranami na głowie i nogach – złapałam go za pasek od spodni i ciągnęłam, aż się wygrzebał znad tej przepaści. Jakie to człowiek ma siły, gdy musi! Zabrali nas, ocalałych z bombardowania, do szpitala w piwnicach przy Długiej. Przyszli oficerowie AK i powiedzieli, że kto może chodzić, zostanie ewakuowany kanałami. Z tymi ranami przeszłam kanały. Wyszliśmy niedaleko ulicy Moniuszki. Razem z porucznikiem i jeszcze kimś dotarliśmy do domu rodziców. Jakiś czas mieszkałam w moim rodzinnym domu. Potem Giorgio został ranny – pielęgnowałam go w szpitalu polowym na Wspólnej, a jednocześnie sama miałam tam nakładane opatrunki na nogi. Wkrótce nastąpiła kapitulacja. Niemcy zawieźli nas na stację, wsadzili do pociągu, zaplombowali i przewieźli do Gross Lübars, do obozu dla jeńców wojennych. Leżałam tam w lazarecie. Potem przeniesiono mnie do obozu Oberlangen, pod granicę holenderską.

3. KAMECKI

Kamecki to kolejny przyjaciel Betiny. Z mężem rozeszła się parę lat temu. Jest dziennikarzem i pod tym względem imponuje Albertowi. Ale tylko pod tym jednym względem. Bo tacy dorastający chłopcy jak on bardzo nie lubią nowych partnerów matek.

Kamecki jest dyskretny. Nigdy u nich nie mieszka, nie zostaje na noc. Pojawia się niespodziewanie.

Raz przyszedł do ich kolejnego mieszkania w Warszawie i zamknął się z mamą w pokoju. Dochodziły stamtąd westchnienia. Albert leżał na łóżku na brzuchu, zagryzał koc i zaciskał oczy. Potem po prostu wszedł pod kołdrę i palcami zatkał uszy.

Kamecki próbuje zaprzyjaźnić się z Albertem, ale nic z tego.

Raz zimą pojechali we trójkę autem do jakiegoś domu wypoczynkowego. Tam matka i kochanek wzięli już wspólny pokój, a Albert zamieszkał w pokoiku w drugim końcu korytarza.

Rano we troje lepią bałwana. „Już go mam” – myśli pewnie Kamecki.

Albert odszedł, ugniótł w dłoniach kulkę ze śniegu. Betina poszła po bułki do sklepiku.

Kamecki robi bałwanowi nos z patyka.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

